

Pod hiszpańskim niebem...

7 dni z Erasmusem... ciężko jest z całego pobytu na stypendium opisać tylko siedem dni... moja „erasmusowa” przygoda trwała ich dokładnie sto dziewięćdziesiąt sześć i każdy z tych dni był wyjątkowy, każdy niepowtarzalny i maksymalnie intensywny.

Kiedy myślę o Erasmusie, to widzę przede wszystkim piękne niebo nad Hiszpanią. Wystarczyło spojrzeć w górę, by poczuć się błogo... ktoś mógłby powiedzieć – niebo jak niebo – ale mnie zachwycało ono za każdym razem, kiedy unosiłam głowę. Niebo nad Hiszpanią jest jakby... niżej. Wydaje się być bardziej bliskie ziemi i bardziej otwarte. Kiedyś podzieliłam się tą refleksją ze spotkanym w Hiszpanii podróżnikiem, zgodził się ze mną od razu, twierdząc, że widział już niejedną obraz nieba, ale to nad Półwyspem Iberyjskim jest naprawdę wyjątkowe. Doszliśmy do wniosku, że ta właśnie „bliskość” nieboskłonu symbolizuje całą Hiszpanię – kraj ludzi niesamowicie otwartych i przyjaznych.

Hiszpańskiego nieba chciało się dotknąć, tak bardzo, że jedną z erasmusowych nocy spędziłam na dachu budynku. Śpiąc na betonowym tarasie powyżej czubków palm, nie tylko spełniałam jedno ze swoich „małych marzeń”, ale przede wszystkim czułam, że mogę wszystko. Erasmus bowiem nie tylko zaciera granice pomiędzy krajami, kulturami i językami, ale przede wszystkim uświadamia nas o nieograniczoności nas samych, o tym, że wszystko, czego chcemy, mamy na wyciągnięcie ręki.

Jeszcze bliżej niż niebo byli bowiem precudowni ludzie. Nie nadużywam słowa „przyjaźń”, ale bez wahania powiem, że mój pobyt na Erasmusie zaowocował trwałymi przyjaźniami. Przede wszystkim poznałam w Elche moją „siostrę” I-Wen. Kiedy zobaczyłyśmy się po raz pierwszy, ja umiałam powiedzieć po hiszpańsku tylko „hola”, ona nie mówiła po angielsku, ale – jak się okazało – porozumienie uzyskać można nawet bez słów. Kiedy - już po dniach wspólnych zwierzeń, wypadów, zakupów, wspólnych głupot, imprez, a czasem nawet i wspólnej nauki - zapytałam I-Wen, dlaczego z tysiąca propozycji wyjazdów na stypendium wybrała właśnie prowincjonalne Elche, odpowiedziała od razu – chyba po to, żeby móc poznać Ciebie... bo prawdziwą przyjaźń można odnaleźć na drugim końcu świata i bez problemu pokonać ona może odległość: Polska-Tajwan. I-wen zdążyła już odwiedzić mnie w Polsce, teraz ja odkładam pieniądze na bilet do Tajwanu, by móc wyściskać moją „hiszpańsko-tajwańską siostrę”.

Nie byłoby Erasmusa bez wspaniałych ludzi, ale również bez niezwykłych miejsc i chwil. Podczas półrocznego pobytu w Hiszpanii miałam okazję zobaczyć uginające się od mandarynek drzewa na ulicach Sewilli, osobiwe działa projektu Gaudiego w Barcelonie,

el marriachi śpiewających na Madryckim Rynku. Zbierałam muszelki na plażach Majorki, w Walencji popijałam mojito, przegryzając je ośmiornicą, spacerowałam wąskimi uliczkami Granady i Kadyksu... tańczyłam salsę, spałam na plaży, kąpałam się w fontannie, wielokrotnie otwierałam oczy ze zdziwienia i zachwytu, wielokrotnie zatrzymywałam się w miejscu, by tym samym zatrzymać piękne chwile. Poznawałam Hiszpanię po to, by po pół roku stwierdzić, że jestem „u siebie”.

Wracając do Polski, wiedziałam, że na przeciwległym końcu Europy jest mój drugi dom. Dom, do którego już wracałam i do którego na pewno jeszcze nie jeden raz wrócę, chociażby po to, by przywołać przepiękne wspomnienia, by zobaczyć „swoje” miejsca, by jeszcze raz wybrać się na spacer pomiędzy palmami, jeszcze raz poczuć zapach andaluzyjskich przypraw i smak paelli, jeszcze raz napić się wina pod różowo-niebieskim niebem, a przy okazji sprawdzić, czy to niebo nad Hiszpanią nadal jest takie niezwykle...

Alicja Wołoszczak

Universidad Miguel Hernandez, Hiszpania



Niebo nad Hiszpanią



Przystanek - Barcelona



Spotkani podczas spaceru



Pomiędzy śniegiem a palmami - Granada



Polsko-tajwańsko-bangladescy kibice Hiszpanii



Madrycka noc



Somos Erasmus!